

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Między Niebem a Ziemią

JAN NOWICKI



Między Niebem a Ziemią



TOWER PRESS
Gdańsk 2000

[Kup książkę](#)

Projekt okładki

Sebastian L. Kudas i Łukasz Filak

Ilustracje

Sebastian L. Kudas

W książce zamieszczono zdjęcia autorstwa

Hanny Banaszak, Krzysztofa Klimca, Bogumiła Opióły,

Sebastiana Skalskiego, Zbigniewa Stokłosa i Janiny Wojtan

Redakcja

Ludwika Topp

Korekta

Zespół

Skład i łamanie

Jerzy M. Kołtuniak

Wydanie pierwsze

© Copyright by Jan Nowicki & Tower Press, Gdańsk 2000

ISBN 83-87342-27-0

Piotr Skrzynecki i Jan Nowicki. Piotr – Warszawiak, Jaś – Kujawiak (Kujawiak, kujawiaczek – nie ma „ci ja”). Obaj krakauerzy z krwi i kości. Obaj odrobinę CK: alas, Przybyszewski, chata w Bronowicach i obaj najzupełniej nie CK: otwarci, wątpiący, ciekawi świata. Obaj w obowiązkowych kapeluszach... Nic dziwnego, że się spotkali i zaczęli rozmawiać. I tak już zostało. Nie ma najmniejszego znaczenia, że któregoś dnia, kiedy wieże kościoła Mariackiego rzuciły długie cienie na Rynek i Sukienice, Piotr przeniósł się w wysokie i nieodgadnione sfery. Żaden to powód, by przerwać dialog. Może tylko rozmowę przy świecach i kieliszkach zastąpiła korespondencja. Ale to przecież detal, nic nieznacząca nieznaczącość.

Opowiada Piotrowi Jan Nowicki:

Opowiedział mi jeden gość, jak to kiedyś odważył się podążyć za dalekim szczekaniem. Szedł, szedł i przez cały czas czuł, że narasta w nim beznadziejne pragnienie spełnienia ostatnich chłopięcych oczekiwań. Przewędrował wiele dróg, przedzierał się przez gęste krzewy, mijał zamki z uśpionymi stadami kawek na wieżach. Aż wreszcie dotarł do celu. Tam strącił nietoperza, który w ciemnościach wkręcił mu się we włosy, pogłaskał psa i zajrzał przez małe okienko do wnętrza chatki. Na podłodze, wciśnięta w kąt, siedziała skulona niebieskooka księżniczka i pięknym głosem syreny, w pieśni bez słów – obiecywała manowce. Płakała. Wtedy uciekł, potracając po drodze psa, który przeciągłym skowytem zmylił mu powrotną drogę.

Piotr wszystko rozumie, bo wszakże wie z wysoka, że nikt tego Janowi Nowickiemu nie opowiedział, że to po prostu Jaś błędził tak jakiegoś wieczora po Krakowie.

Bowiem Kraków to dla obu panów Pola Elizejskie. Te mityczne, gdzie błędzą cienie, a księżniczka obiecuje manowce; i te paryskie, gdzie wielkiemu światu wydaje się, iż żegna się ze światem małym, a na talerze sypią się ostrygi i w trzech smakach drób. Problem w tym, że Jan Nowicki nie chce tych światów rozdzielić. Oba są, oba realnie istnieją, po cóż więc udawać, że któregoś z nich nie ma. Ale uznawszy obydwu, stajemy w obliczu chaosu, migotania wartości; gorzej jeszcze – znajdujemy się na granicy kiczu. Ten Piotr gadający z Nieba, te Planty zmienione raz w ogród Hesperyd, to znów w wulgarny deptak, gdzie szarzy menele piją groszowe wino. Otóż nie ma w tym cienia sentymentalizmu. Świat jest taki i taki. Jaki zaś będzie naprawdę, decydujemy my sami. Swoim światem zechciał się Jan Nowicki podzielić.

No i co? *No i chodzi teraz pozbawiony dachu nad głową, a nocami znowu czeka na dalekie szczekanie psa. Zachwycające przez to, że przywołuje na myśl marzenia, które nigdy i nikomu – nie mogą się spełnić.* – Tutaj Pan jednak przesadził, panie Janie. Dane mi było napisać wstęp do Pana książki. A poza tym w moim ogrodzie zakwitła czereśnia. Odpis niniejszego przesyłam do Piotra.

Adres: Niebo.

Ludwik Stomma



Pan Piotr Skrzypecki
Niebo

Kochany Panie Piotrze,

moim zdaniem (czy także Pańskim?) w naszym odchodzeniu na tak zwane „zawsze” trudno dopatrzeć się czegoś naprawdę dramatycznego. Oryginalne to też nie jest, skoro tyłu przed nami i tyłu po nas. Fakt ten powiela się od tak dawna, że pochylenie się nad sensem początku i końca rozmywa się w bliżej nieokreślonym błękanie, interesuje, a potem męczy.

Znając Pańską wyśmienitą pamięć, nie muszę chyba przypominać wszystkich szczegółów dotyczących mego uczestnictwa w czterokonno-karej imprezie, w której trudno było nadążyć, bo tempo w tym momencie Panu raczej obojętne, dla biegnących za Panem było zawrotne. Do dziś zresztą trudno ustalić dlaczego, bo ksiądz Tischner obarcza winą konie, a konie – księdza.

Panie Kochany, pamięta Pan przecież, jak na ostatniej prostej ktoś nadepnął mi do krwi na bezbronną, pozbawioną skarpety piętę, co w połączeniu z podejrzeniem, że pędzę jak idiota za pustą trumną, rozwścieczyło mnie do końca. Gdzie Pan wtedy był? Pozwoli Pan, że zaproponuję Mu miejsce w okolicach naszych serc. Niepewne, wiem, nie do końca bezpieczne, wstrętne zapominalskie, ale mimo to o jedno oczko stawiam je wyżej od Pańskiego kołysanego monotonnym rytmem resorów...

W Krakowie rozpadało się, jak to w listopadzie. Bar „Vis-à-vis” majaczy we mgle papierosów i tylko uśmiechy Zosi i Krysi zdają się świadczyć o normalności, bo Panie, bazie kwitną, niektóre ptaki zamiast odlecieć, zostały, inne zaś wra-



cają za wcześniej – czyli, jak to u nas, permanentny bałagan. W polityce dobrze, bo przestałem się nią interesować. W teatrze niepokój, który trudno nazwać twórczym, w moim domu za to – dużo pulsującego szczęścia, bo Pan już chyba wie, czym żona podnieca męża po dwudziestu latach małżeństwa?

Każdym słowem, Drogi Panie! Każdym słowem!!!

Tinie, o której Pan powiedział, że jest potwornie brzydka, sprawilem zgodnie z Pana ostatnią wolą trzy komplety ubrań, w których pies wygląda wprawdzie jak idiota, ale czego nie robi się dla irytującej skądinąd satysfakcji przyjaciela. Dawno nie widziałem Ani Szałapak, ale mówią, że dalej rosną jej włosy. Zniknął także Zbyszek Preisner – może praca, a może – zważywszy, że z zimą coś nie tak – dziwnie odmłodził. Tu na Ziemi biją się często i zabijają czasem. O chorobie wściekłych krów jeszcze Pan słyszał, ale po Pana wyjeździe docierają już wieści o wścieklej kurzej grypie.

Ściskam i czekam na wiadomości

Pański Jan Nowicki

Kraków, marzec 1998



Pan Jan Nowicki Ziemia

Drogi Panie Janie,

parę słów o moim zniknięciu. Prawda, był taki moment, kiedy poczułem, że dzieje się ze mną coś nadzwyczajnego – ale żeby do tego stopnia? W stanie ocenianym przez stosownych fachowców jako krytyczny, zobaczyłem nagle pochyloną nad sobą, szepczącą coś, białą postać. Zupełnie, ale to zupełnie nie wiedziałem, o co chodzi. Miałem takie wrażenie, że ten biały sprzedaje nade mną lody. No, nie – myślę sobie! Teraz minął jakiś czas i jestem świadomy pomyłki, ale wtedy, tamtego przedpołudnia, przysiągłbym, że słyszę – „malinowe, truskawkowe, pistacjowe”.

Było, minęło, Drogi Panie.

Tu, gdzie teraz jestem, jest bardzo zabawnie. Krakowskie ploteczki poznajemy za pośrednictwem Waszych Patronów. O tym, na przykład, że Ani Szałapak wciąż rosną włosy, usłyszałem wcześniej z ust świętej Anny, iż to za Jej sprawą. Pańskimi krokami z urzędu zajmuje się natomiast Chrzyciel, który nie wszystko u Pana aprobuje, ale, mój Boże. Zacząłem nowy rok w ciszy, którą przyjmuję od pewnego czasu z upodobaniem, pochylałam się nad lurą ziołowej herbaty i topiąc w niej lzę zazdrości, życzę Panu, Panie Janie, wszystkiego najgłębszego, schłodzonego z sokiem albo lepiej bez.

Wieczory spędzam czasem z moim imiennikiem, który jest tutaj ważną figurą. Nie przesadzę chyba, jeśli powiem, że cieśnię się u Niego specjalnymi względami – w niebieskich proporcjach, ma się rozumieć. Bo gdy kiedyś poprosiłem, żeby mi pozwolił potrząsnąć kluczami, to najpierw spojrzał na

mnie karcało, a potem powiedział, że dosyć się w życiu nadzwoniłem. Kapelusz pozwalają mi nosić, odebrano mi za to prawo do „szkaradek”. Ukrywam się trochę przed Aniołami, które mimo grupowej urody i absolutnego słuchu, zdradzają nieprzyjemną skłonność do plotkowania. Przywara ta bywa odgórnie karcona, ale chyba bez większego przekonania, z odzieniem ojcowskiego pobłażania.

Zresztą, Panie, one się jakoś tak przesadnie obrażają i zamiast śpiewać, zaczynają zaraz trzepotać skrzydłami jak stado gołębic.

À propos ptaków, ktoś mi tu doniósł – czy nie święta Krystyna? – że w czasie przejażdżki wokół Rynku, którą mi ofiarowaliście w dzień pogrzebu, miałem według czyjegoes pomysłu wpaść na moment do kościoła Franciszkanów, z którego patronem rzekomo łączą mnie więzy wspólnej miłości do wróbelków. To nieporozumienie! Donoszę Panu, że ze świętym Franciszkiem pozostaję tu w znakomitych stosunkach, ale bardziej ze względu na Jego wczesną młodość oraz Asyż i wspólny zachwyt dla pana Giotta. Ale z całą stanowczością podkreślam, że nigdy nie podzielałem i nie podzielał Jego miłości do ptactwa. (A tak na marginesie – gratuluję ubranek dla Pańskiego, pożal się Boże, teriera).

Powinienem kończyć, bo ten Pański pomysł, żeby dzielić się naszą korespondencją z Czytelnikami „Przekroju”, wymusza pewną dyscyplinę. Nie jestem przekonany do Pańskiej koncepcji, ale spotkany na wczorajszym spacerze Marian Eile, gdy się o tym dowiedział, spojrzał na mnie znudzony i tylko machnął ręką.

Serdecznie kłaniam się Panu

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Sublokatorka, marzec 1998

Pan Piotr Skrzypecki Niebo

Kochany Panie Piotrze,

może Pan nie lubić ptaków, ale proszę przynajmniej docenić ich przydatność. Przecież Pański list przyleciał do mnie ptakiem!

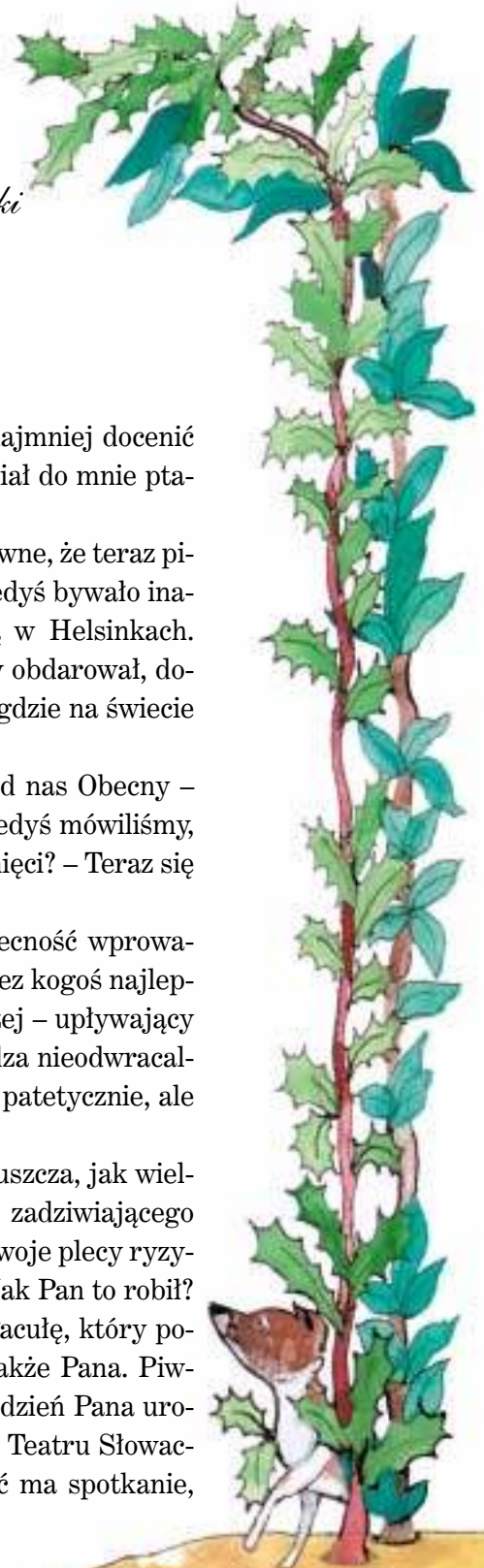
Jakie to miłe, że Pan się odezwał i jakie dziwne, że teraz pisze Pan wyraźniej. Więcej czasu – myślę. Kiedyś bywało inaczej, pamiętam kartkę od Pana otrzymaną w Helsinkach. Treści czterech zdań, jakimi mnie Pan wtedy obdarował, dochodziłem przez cały fiński miesiąc, który nigdzie na świecie nie bywa dłuższy.

Wyjechał Pan, a mimo to ciągle jest wśród nas Obecny – coraz większy i większy. Pamięta Pan, jak kiedyś mówiliśmy, że artysta najlepiej egzystuje w ludzkiej pamięci? – Teraz się to potwierdza.

Panie, korekty jakies Pan pod swą nieobecność wprowadza. Ostatnia dotyczy czasu – nazwanego przez kogoś najlepszym lekarzem. Nieprawda – jest coraz gorzej – upływający czas pozbawia nas złudzeń i twardo potwierdza nieodwracalność zdarzeń. Cholera, dzisiaj idzie mi jakoś patetycznie, ale w końcu dlaczego by nie?

Panie Piotrze Drogi, nawet Pan nie przypuszcza, jak wielka tajemnica oddziela nas od zrozumienia zadziwiającego faktu, że Pan, nie robiąc prawie nic, brał na swoje plecy ryzyko większości naszych marzeń i oczekiwań. Jak Pan to robił?

Wczoraj w „Vis-à-vis” spotkałem Marka Pacułę, który podzielił się ze mną pomysłami dotyczącymi także Pana. Piwniczni przyjaciele wpadli na pomysł, żeby w dzień Pana urodzin cały zespół kabaretu wystąpił na scenie Teatru Słowackiego. Pańskie imieniny natomiast uświetnić ma spotkanie,



które – już nie pamiętam – czy nazwał Piotrową Nocą czy Nocą Piotra.

Jak zwał, tak zwał. Powiedziałem mu, że wszystkie inicjatywy zmierzające do tego, by się zabawić, uważam za słuszne, nie mówiąc o tych, których pomysłodawcą pozostanie na zawsze Pan. Potańczymy sobie, powyglupiamy się, a bardziej od innych rozgarnięci strzelą po dwa toasty. Pierwszy nazwałbym kielichem zadumy, drugi – Drogi Panie... – rąbną po prostu na drugą nóżkę.

Szlachetnie kombinują Pańscy koleżkowie z kabaretu, ale Drogi Panie, należy też myśleć o nowym Piotrze, młodym i tak nieudolnym na starcie, że ryczałby Pan ze śmiechu – wiem – ale po otarciu łez wziąłby się Pan zaraz do doradzania i do podpowiadania.

A kiedy – powiedzmy – za trzy albo za sześć lat ten ktoś stałby się piękniejszy od Pana, cóż za problem skrzyknąć Anioły i niebieskim autobusem przyjechać „Pod Barany”?

Znam takich, którzy gubiąc beztrósco świadomość biologicznego końca, żyją jeszcze wprawdzie, ale cóż to za życie – karmione niechęcią do innych. Sprowadza się ono do tego, żeby jak najwięcej innych wciągnąć za sobą do grobu. Ludzkie – to prawda, ciekawe – prawda, ale że paskudne – także prawda.

Panie Drogi, im piękniejsi będą nasi następcy, tym piękniejszymi byliśmy kiedyś my.

Kończę, pozdrawiam i przypominam, że do Pańskiego numeru 21–13–81 telekomunikacja dodała 4.

Kłaniam się Panu

Jan Nowicki

Kraków, marzec 1998



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

tu, w Niebie, jest mi tak dobrze, że aż nie mam własnego zdania – nie muszę mieć. Panie, ja nic nie robię, tylko cały czas jestem szczęśliwy.

Nie muszę na przykład wciągać skarpet. Chodzę sobie bosso po zielonej trawie i nie zważam na robaczki, bo moje stopy unoszą się parę centymetrów nad ziemią. Spytałem jednego takiego, jak to jest, a on: „Nie wiesz? Ty fruwasz”. Nawet jak siedzę i jem ziemniaki z koperkiem, to też się unoszę. Mój widelec też się unosi, ale ja zaraz przyduszam nim fruważącego nad talerzem kartofelka i... hop! W żołądku niech kretyn polata! Fruwają też książki, obrazy, kałamarze. Tuż obok mojej hacjendy jest postój latających taksówek, z których nikt nie korzysta, bo wystarczy odepchnąć się lewą nogą i... leeecciiisz..., potem prawą i... leeecciiisz, tak że w końcu tam, gdzie chcesz dolecieć, dolecisz.

W pierwszych dniach mojego tu pobytu sięgnąłem do mojego ukochanego Montaigne'a, odwracam pierwszą kartę, a tu zaraz literki z chichotem odrywają się i jedna po drugiej znikają w chmurach. Patrzysz – biała strona, otwierasz następną – biała strona. Byłem tak rozbawiony, że przekartkowałem cały tom *Prób*. Leży teraz nienapisany, biały od początku do końca, nikomu niepotrzebny. Panie, zaczęło się!

Muszę przyznać, że opuszczałem Kraków w nie najlepszej kondycji, a że Szczawnica w tej sytuacji odpada, pomyślałem, że zaraz po przyjeździe do Nieba rozejrzę się za jakimś kurorkikiem, żeby, jak to mówią, oderwać się na chwilę od świata i ludzi. O, święta naiwności!

Ledwie zdążyłem odespać moje przez trzydzieści lat zarywane noce, a już zaczęły się wizyty rodziny i znajomych. Matka (poznał ją Pan) zachowała się przynajmniej z klasą, wpadła na pięć minut, uściskaliśmy się, pośmialiśmy się z faktu, że mnie też dopadło i poszła. Ale potem przyszedł brat, przysiadł na plecionym zydelku i milczał. Milczał tylko i milczał. I patrzył na mnie tymi niebieskimi oczyma tak długo, że w końcu nie wytrzymałem i warknąłem coś o człowieku, który chyba zwariował, żeby spadać ze schodów z takim skutkiem.

Józef rozłożył bezradnie ręce, westchnął, ciężko wstał z zydlu i wycofał się w kierunku drzwi ze słynnym *c'est la vie* na ustach. Puściłem za nim „szkaradkę”, z której jutro będę się musiał tłumaczyć. Dopadła mnie też wiadomość, że zapowiada się z wizytą Janinka. Wspomina przy okazji, że chętnie ugotuje mi krupnik, za którym Pan tak przepadał (cha! cha! cha!!!).

Jakiś czas temu, spacerując po cyprysowej alei, mijałem nieznanego Anioła, który nucił pod nosem o... okularnikach. Widomy znak, że i Agnieszka zaczyna powoli się zbierać. Kto wie, może i czas na mnie? Na początek trzeba by złapać kontakt z Wieśkiem Dymnym, mimo że boję się go nawet tutaj.

Pięknie tu, to prawda, wielce pouczająco, ale czegoś mi brakuje. Po całodziennym fruwaniu człowiek ma chyba prawo do tego, żeby nocą, gdy większość śpi, stanąć w końcu na zielonej ziemi Nieba z grzesznym poczuciem w sercu, że biduli daleko do urody brudnych i zadymionych ulic Krakowa. Do najpiękniejszego na świecie Rynku. Do pewnej piwnicy, którą jakiejś nocy pozbawiliśmy raz na zawsze szanse na kontakt z węglem i kartoflami.

Proszę o mnie pamiętać, Panie Janie,

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Hacjenda, marzec 1998

Pan Piotr Skrzypecki Niebo

Kochany Panie Piotrze,

w końcu Pańskiego ostatniego listu pojawił się ton niebezpiecznej nostalgii. Posługując się ziemską miarą, łatwo obliczyć, że od Pana wyjazdu minęło dziewięć długich miesięcy. U nas dziewięć miesięcy to czas, jaki musi przebyć dziecko od poczęcia do chwili urodzenia.

Kogo w Niebie może obchodzić rozbity na okruchy gwiazd i pył komet – czas? Niepotrzebne nikomu zegary leżą, jak myślę, zapomniane i spalone słońcem, strasząc zardzewiałymi trybami albo martwą wskazówką, których cień od wieków służy tylko do wprowadzania nowo przybyłych w błąd.

Nie minął nawet rok, a Pan chciałby już odwiedzić Kraków?

Z tego, co pamiętam, nawet w czasach najdłuższych rozmów nigdy nie potrafiliśmy zdobyć się na dyskusję o Wieczności. A jeśli próbowaliśmy pisać o tym, kończyło się to zawsze ucieczką w znaki zapytania i wielokropki.

Teraz, gdy jednego zabrakło do tanga, przypuszczam, że tuż po wprowadzeniu się do Nieba wziął Pan udział w jakimś zebraniu, na którym ktoś ważny przedstawił Wam podstawowe zasady nowego bytowania. Regulamin, przepustki, itp. rzeczy, bez których nie wyobrażam sobie żadnego życia – także po śmierci.

Musiałoby odbyć się takie zebranie, tylko że Pan już wtedy... odsypiał. Myślę, że stąd właśnie wzięła się Pańska przedwczesna tęsknota do miasta, którą rozumiem, ale proszę wybaczyć, nie do końca.

Nas, którzy kochamy i którzy skazani jesteśmy na Kraków, najbardziej drażnią momenty bądź sytuacje, które zmuszają nas do definiowania tych uczuć. Dopóki rzecz obraca się jeszcze w rejonach dowcipu albo sformułowań koniecznie



niekonsekwentnych – pół biedy. Ale Panie Drogi... dokonania, a więc: obrazy, kompozycje, wiersze czy filmy odsłaniają tylko bezradność naszych serc wobec fenomenu miasta, które nas na początku zainteresowało, potem zachwycało, a w końcu zdeprawowało.

A co do ludzi, którzy nie wiadomo skąd się tu wzięli (może ten kamień na Wawelu), to jedno jest pewne, że po latach stają się dziwnymi „wampirami” Krakowa, który na szczęście odwzajemnia się im tą samą skłonnością.

Można by tak dalej i dalej... Bo my tu najbardziej lubimy właśnie tak, ale trzeba zaprzestać, bo sensu w tym niewiele, więcej może przykrego dla Pana usiłowania. A tak w ogóle, to w naszym mieście najbardziej lubię tych ludzi, którzy podążają ciągle za głosem milczącego dzwonka.

Ja miałbym zapomnieć – to o kim pamiętać?

Pański Jan Nowicki

Kraków, marzec 1998



Pan Jan Nowicki Ziemia

Drogi Panie Janie,

wczoraj w wewnętrznej kieszeni marynarki znalazłem stary ziemski kalendarzyk, zabazgrany numerami telefonów, adresami i nieczytelnymi notatkami. Przejrzałem go pobieżnie i bez okularów, bo muszę Panu powiedzieć, że w Niebie bardzo poprawił mi się wzrok. Justyna – żeński Anioł – pomagająca mi w utrzymaniu porządku w hacjendzie, z uwagą obejrzała kalendarz i nie mogła wyjść ze zdumienia. Każdy gość po przyjeździe do Nieba zobowiązany jest przecież do pozostawienia na Piotrowej portierni wszystkich drobiazgów, które celowo lub przez roztargnienie zabrał ze sobą z Ziemi.

I ciekawostka – wychodząc z założenia, że ostatecznych aktów nikt tu nie powieli – pozwalają zatrzymać przy sobie paski i sznurowadła. Justyna ma smukłe białe palce zakończone niebieskimi paznokciami. Tymi palcami przerzucała luźne kartki i tylko się uśmiechała. Jej nie do końca dorosły cień przyleciał w te strony pod koniec XVIII wieku. Któregoś popołudnia, w czasie wolnym od zajęć, czyli od przeżywania permanentnego szczęścia, kiedy to pierwsze lody uznaliśmy za przełamane, zwierzyła mi się, że mając piętnaście lat, ona, wtedy niemiecka księżniczka czystej krwi, spadła w pełnym galopie z bezrasowego kuca i... trach! Co za pech!

Spadła, Panie, a w chwilę potem – zesła.

Pamięta Pan, jak często śmialiśmy się z faktu, że w Zakopanem się – siedzi, a do Kanady się – ściga? Teraz możemy dodać do tego, że ze świata się – schodzi. Nawet w przypadkach pełnych dramatyzmu, kiedy to tempo ostatnich chwil ustala się według rytmu silnika pędzącego w przepaść samochodu albo świstu skrytobójczej kuli, człowiek po fakcie nie

klusuje na tamten świat (przepraszam – na ten), nie biegnie, nie pędzi, tylko oglądając się za siebie – wolno schodzi.

Panie Janie Drogi, może zainteresuje Pana, jak my się tu między sobą porozumiewamy. Różnią nas przecież kraje pochodzenia, kolor skóry, języki, daty zejścia itd., itp. Otóż porozumiewamy się bez problemu, mówiąc po prostu swoimi ojczystymi językami. Kiedy po raz pierwszy przekraczałem Niebieską Bramę, czułem, że wypada coś powiedzieć, ale byłem tak speszony, że zdobyłem się tylko na konwencjonalne – co słyszać? A tu zaraz skośnooki Anioł w najczystszej chińszczyźnie – „Jakoś leci”. W momencie przekroczenia Niebieskiej Bramy wszyscy automatycznie stają się poliglottami – w jedną stronę. Bo na przykład takiego, za przeproszeniem, Araba rozumiem, mimo że arabskiego nie znam, a on rozumie mnie. Polskie zwroty o międzynarodowej renomie typu: – „Na zdrowie!” – z oczywistych powodów nie budzą większych emocji. Bezpowrotnie wycofano także swojskie zawołanie – „Jak żyjesz?”.

Tyle na dziś

Pański Piotr Skrzynecki

PS Panie Janie, siadając do pisania, miałem zamiar ustosunkować się do Pańskiej opinii na temat Krakowa, która wydała mi się miejscami nieco dyletancka, ale po drodze zniosło mnie w jakieś ble, ble.

Niebo. Hacjenda, kwiecień 1998

